



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

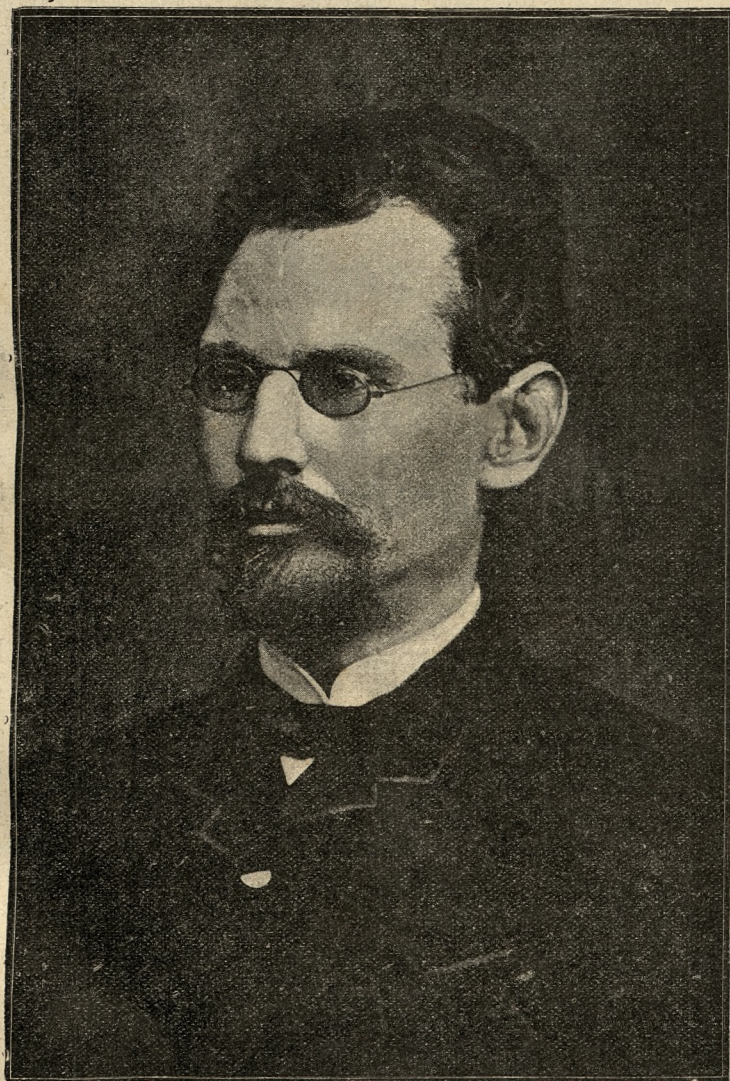
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Bolesław Prus.

(W dwudziestą piątą rocznicę zawodu pisarskiego).

W jednej ze swych nowel p. t. *Cienie* znakomity nasz autor, którego pracy znacznej i pożytecznej na polu piśmienniczym właśnie dwadzieścia pięć lat upływa, uczynił niezmiernie trafne porównanie latarnika, przebiegającego wieczorem miasto z pochodnią w ręce, by zapalać latarnie na ulicach, do człowieka, rozniecającego wciąż światło wśród ludzi podczas pomroki życiowej. Porównanie to da się całkowicie zastosować do naszego jublata: Prus—to ów latarnik z nowelki, w ciągu dwudziestu pięciu lat przyświecający swemu ogółowi, rozpalający wzdłuż jego drogi życiowej cały szereg światel, których źródłem była zawsze czysta i głęboka miłość, spoczywająca zarówno na jednostkach, jak i na społeczeństwie całym, miłość, co wykuła potężne ogniwo, zespalające z nim ogół, i uczyniła go bardzo popularnym pisarzem, którego dzieła znane są i w salonach, i na poddaszach. Obszerniejszy rozbiór dzieł tych może znaleźć czytelnik w początkowych numerach *Bluszcza* z r. 1895, na tem więc miejscu pozostaje nam jeno rzucić okiem na ogólną działalność ćwierćwiekową Prusa i uprzytomnić sobie jego zasługi w kilku słowach, które temsamem będą wyrazem hołdu dla zasłużonego pisarza.



BOLESŁAW PRUS (Aleksander Głowacki).

Prus, będąc jeszcze uczniem liceum w Lublinie, obok zamiłowania do matematyki zdradzał niemały pociąg do nauk społecznych i filozoficznych, które z zapałem począł studiować później, uczęszczając od r. 1866 na wydział matematyczny Szkoły Głównej w Warszawie. Tedy prócz matematyki ulubionymi przedmiotami jego były: logika, psychologia, filozofia, ekonomia polityczna, statystyka i nauki przyrodnicze; natomiast poeci romantyczni, z których np. Słowacki jeszcze w owym czasie entuzjazmował młode umysły, nie przemawiali do naszego pisarza i jego kolegów, którzy wogóle uznając poezję za krzewicielkę szkodliwego marzycielstwa i sentymentalizmu, stanowili tę grupę młodzieży szkolnej, która później, wystąpiwszy na pole działalności publicznej, zyskała nazwę pozytywistów, propagujących „pracę organiczną” i zrywających z dotychczasowymi wyobrażeniami kastowymi i dążeniami społecznymi. Prus w Lublinie, a potem w Warszawie był duszą tej młodzieży, dyskutując zapamiętałe z jednej strony nad najwyższymi zagadnieniami ludzkości, nad świeżo przeczytanymi dziełami uczonych pozytywistów europejskich, a z drugiej nad nowymi potrzebami i reformami koniecznymi własnego społeczeństwa.

Po ukończeniu Szkoły Głównej, zostawszy w r. 1872 współpracownikiem *Opiekuna domowego*, czasopisma umiarkowanego postępowego, Prus wystąpił w niem poraz pierwszy z obszerniejszym artykułem p. t. *Nasze grzechy*, zawierającym w streszczeniu szczegółowszy program owej pracy organicznej. Był to pierwszy początkujący autor, a jakkolwiek nie bez

pewnych usterków, atoli ważne z tego względu, że w nich widzimy wypowiedziane śmiało te poglądy na sprawy ogółu i ten system pracy zbiorowej, którym pozostał on wierny do dnia dzisiejszego, a które temsamem mogą służyć charakterystyką jego działalności społecznej.

Autor zarzuca tu ogółowi życie nad stan, marnotrawstwo, trwonienie lekkomyślne fortuny, przesady kastowe, nie pozwalające szlachcicowi, mieć się łokcia i miarki, nieumiejętność wyzyskiwania bogactw krajowych, brak oświaty; po czem daje cały szereg wskazówek, jak należy na przyszłość pracować, by naprawić błędy przeszłości. Prus w poglądach swych na pracę społeczną stanął odrazu na gruncie realnym, praktycznym, wyrzekając się wszelkich mrzonek, a natomiast kładąc silny nacisk na konieczność podniesienia dobrobytu materialnego drogą pracy uczciwej na wszelkich polach i również na konieczność oświaty, której brak w narodzie odczuwał głęboko. Na tym samym gruncie stoi Prus w dalszym ciągu swej działalności, kreśląc szereg artykułów w rozmaitych kwestiach społecznych, a nadewszystko pisując najpierw w *Kurjerze Warszawskim*, a następnie w *Codziennym* rozgłosne swoje kroniki, które przed rokiem ukazały się w osobnym wydaniu książkowym.

Prus, jako kronikarz, zyskał wśród szarego tłumu mniej wykształconych czytelników znacznie większy rozgłos, niż jako powieściopisarz. I nie dziw. Wszak w ciągu lat kilkunastu nie było ani jednej chociażby podrzędniejszej kwestyi publicznej, którejby on nie poruszył w swych kronikach tygodniowych, ani jednej sprawy, ani jednego objawu społecznego, obchodzącego żywiej klasy pracujące, które on otoczył szczególną miłością i którym lwiał część swej pracy poświęcił. Stąd w kronikach tych widzimy wielkie mnóstwo projektów, pomysłów, dotyczących się kwestyi polepszenia bytu robotników, rozwoju handlu, przemysłu, rolnictwa, jako głównych źródeł bogactwa krajowego. Wiele z tych projektów urzeczywistniło się z prawdziwą korzyścią dla ogółu, a między niemi tak dobroczynna instytucja, jak „kasy pożyczkowe dla rzemieślników,” powstała jedynie dzięki inicjatywie Prusa.

Po za tą żywotnością treści i po za demokratyzmem autora, w kronikach tygodniowych do spotęgowania jego popularności przyczynił się niemało i ów iście narodowy humor prosty, szczery, czasem rubaszny nieco, a tak mocno przypominający humor naszych pradziadów z XVI w. Niema w nim sarkazmu lub zjadliwej uszczypliwej ironii, a natomiast widzimy zawsze spokój, pogodę i uśmiech pobłażliwy, z którym Prus, jako człowiek, wznoszący się ponad małostki i usterki ducha ludzkiego, porusza niejednokrotnie najważniejsze kwestye społeczne.

Taka sama żywotność treści, demokratyzm rozumny, grunt realny, wreszcie ten sam humor prosty, a serdeczny łatwo możemy zauważyć i we wszystkich beletrystycznych utworach Prusa od najwcześniejszych nowelek (*Palac i rudera*, *Powracająca fala*, *Antek*, *Michalko* i t. d.) aż do najnowszej powieści obszernej p. t. *Faraon*, napisanej bezpośrednio po *Emancypantkach*. Jakim jest Prus publicystą, takim i powieściopisarzem, a to nietylko ze względu na jednakową w kronikach i powieściach żywotność treści, miłość społeczeństwa, które ma autor zawsze przed sobą i którego pulsów wciąż słucha, ale i ze względu na artyzm, z którym były pisane oba te gatunki prac literackich tak, zda się, różne, tak niepodobne do siebie. W kronikach również Prus jest artystą, to też każda z nich stanowi nieraz jakby skończony obrazek społeczny, a wszystkie wzięte razem nieco przypominają nam Reja *Zwierciadło*, z którym wiele wspólnych cech je łączy, a jak obecnie to arcydzieło z XVI w. jest dla nas niesłychanie cennem ze względu na dokładną, a barwną charakterystykę ubiegłej epoki, w której powstało, tak w odległej przyszłości i kroniki Prusa będą wciąż posiadały niepoślednią wartość, jako dokładne od-

zwierciedlenie prądów, nurtujących wśród dzisiejszego społeczeństwa.

Jako powieściopisarz nasz autor próbował najpierw sił swoich w kreśleniu drobnych nowelek lub szkiców, w których zazwyczaj albo stawał w obronie upośledzonych biedaków, nędzarzy (*Antek*, *Palac i rudera*, *Michalko*, *Sieroca doła*), albo rozpatrywał stosunek pracowników do pracodawców (*Powracająca fala*), albo uwydatniał głębsze myśli filozoficzne, świadczące o umyśle badawczym i usiłującym w chaosie świata i ducha ludzkiego odnaleźć ład, porządek i prawa ogólne (*Cienie*, *Pieśń świata* i t. d.), lub też nakoniec kreślił typy i charaktery często w oświeceniu humorystycznym (*Pominięty*, *Katarzynka*, *Stara bujka* i t. d.). Większym utworem powieściowym, który utrwał już sławę Prusa, jako pisarza-artysty i myśliciela, była *Placówka*, gdzieśmy po raz pierwszy ujrzeli z wielką prawdą życiową skreślony typ chłopca takiego, jaki istnieje obecnie od czasu reformy włościańskiej. Bardziej złożoną i z większym artyzmem wykonaną została następna dużych rozmiarów powieść Prusa p. t. *Lalka*, gdzie spostrzegamy stykające się z sobą najróżnorodniejsze charaktery, a między niemi przepysznym typem starego wojaka—romantyka (Rzecki), splecione w jedną całość różnorodne uczucia, namiętności, a wreszcie rozsiane tu i ówdzie zagadnienia bytu społecznego. Talent Prusa, przechodząc stopniowo szczyble swojego rozwoju, stworzył po *Lalce* znakomitą nierównie pod względem artyzmu i subtelnej analizy psychicznej powieść *Emancypantki*, w której występuje z wielką plastyką i znajomością natury ludzkiej skreślony typ kobiety niezwykłej, nacechowanej piętnem geniuszu uczucia. Obok tego mamy tam poruszoną kwestyę emancypacji kobiet, ale pobieżnie jeno i jednostronnie, bo ze strony jedynie komicznej uwydatnioną. Ostatnią nakoniec pracą Prusa jest pierwsza jego powieść historyczna, świeżo ukończona w *Tygodniku ilustrowanym*, p. t. *Faraon*, o której można będzie pomówić obszerniej dopiero po ukazaniu się jej w wydaniu książkowym.

Taką jest w tych kilku słowach uwydatniona dwudziesto pięcioletnia działalność naszego jubilata, działalność przedewszystkiem niesłychanie pożyteczna dla społeczeństwa, które Prus całą miłością swoją ukochał i którego potrzeby doskonale zrozumiał; to też wszystkie dzieła tego pisarza, wobec tego, że wyrosły na gruncie społecznym, że odbiły w sobie pragnienia, potrzeby i ideały ogółu z chwili bieżącej, że wreszcie owiane są technieniem wielkiej miłości ich twórcy—niepoślednią wartość i znaczenie przechwaja przez długie lata.

J. Nitowski.

Na schyłku wieku.

I.

Na schyłku wieku, pośród ludzkiej rzeszy,
Słyszymy czasem pomruki ponure,—
Ale nie wiemy, dokąd tłum ten spieszy
I za czem—wzrokiem groźnym—patrzy w górę.
Ani go słońca promień złoty cieszy,
Ni pieśń miłosna z czoła spędza chmurę.
Oblany potem i krwią, nagi, pieszy —
Idzie, pomruki wydając ponure.

Ach, gdybyś treść tych zrozumiał odgłosów
I bliżej nieco zapoznał się z niemi, —
Skargębyś pojął na ironię losów,

Że przed wiekami był Chrystus na ziemi,
I dla jej szczęścia, poniósł śmierć i rany,
I ma wyznawców moc, lecz jest—nieznany...

II.

W przyszłość się posuwamy w ponurej pomroce,—
Dni naszych nie rozwidnia słońca odbłyśk złoty
Gwiazd promiennych nie znają długie, straszne
[noc]
Gdy rozpacz, jak sęp, głębie rozdziera istoty.

Sami nie wiemy, jakie rządzą nami mocę,
I tylko, wyteżając wzrok, mrać z tęsknoty.
Patrzmy, czy w ciemności światło nie migocze
Czy mroków nie rozwidnia słońca odbłyśk złoty
[bryk]

A pokolenia ludzkie w mgle ponurej toną
I, w odwiecznej wędrówce do zimnej mogiły
Nadzieję nawet tracić zaczęły pomału,
Że kiedyś błysnąć musi gwiazda ideału.

III.

Tajemnice zawisły nad światem, jak żmije...
Duch ludzki, chcąc rozwiązać wszechbytu zagadkę
Szamocze się, jak orzeł młody, co o klatki
Pręty stalowe piersią rozranioną bije,—

Lub jak sierota, która, gdy oczy nićzyje
Nie patrzą, idzie z jękiem na mogiłę matki
I rzuca się z rozpaczą na głaz zimny, gładki
Lecz potokiem nadgrobne zraszając lilje.

A wśród tych walk i strasznych szamotań
[du]
Zapominamy nieraz, że, choć dziś chwilowo
Rozwiązanie tajemnic noc pokrywa głucha,—

Ludzkość nieznane jakieś odczuwa już dresz
Które zwiastują erę w jej rozwoju nową
I każą zórz rozświtu spodziewać się jeszcze

IV.

A kiedy jasne zorze ozłocą
Drogi ludzkich wielkie, beżbrzeżne ciemności
Pytać nie będziemy dlaczego, po co
Nieśliśmy brzemień życia daremnie.

Z nieznaną dzisiaj, potężną mocą,
Myśl tajemnice wszystkie ogarnie,—
I zrozumiemy, że w walce z nocą
Żaden wysiłek nie przepadł marnie.

Wszystkie, jak szczyble drabiny owej,
Które aniołów do nieba wiodły,
Zbliżają zwolna rozświt tęczy,

Ten rozświt, może już niedaleki,
O który ludzkość zanoszą modły
I walkę straszną toczy przez wieki.

Warszawa, d. 1 Stycznia 1897 r.

Selim.

NA ZASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg).

II.

W jadalnej sali siadano już do stołu, gdy weszła Janina. Hrabina Żarnowiecka, słuszną, pełną niezrównanej dystynkcji dama, przerwała rozmowę jaką z Romanem prowadziła, i głosem oschłym:

— *Vous-vous faites attendre ma chère...* — rzekła do Janiny z wymówką, choć dobrze wiedziała, ile zajęć spoczywało na głowie młodej sieroty. — Moja wychowanka... — dodała obojętnie, ukazując ją zlekka Romanowi.

Pomieszana mocno Janina, z powodu niespodzianej wymówki, i tej prezentacji tak niewłaściwej i lekceważącej, pochyliła główkę niby z ukłonem, odpowiadając na ukłon młodego człowieka, i niejasno tylko widziała, że stojący przed nią był słusznym baczystym mężczyzną, w którym na pierwszy rzut oka nie uderzało, chyba piękne, duże, szafirowe oczy, którymi spoglądał na nią przelotnie.

Oprócz Romana, na obiedzie był także doktor z miasteczka, proboszcz i kilka osób z sąsiedztwa, którzy przybyli hrabinie w dzień imienin — złożyć życzenia; rozmowa więc bardzo ożywną była, a hrabina w doskonałym humorze. Kamilla siedziała obok kuzynki; mówiła nie wiele, ale była widocznie zadowolona.

Pan Roman stanął jakby punkt kulminacyjny; wszyscy go słuchali gdy mówił, na opowiadania wyciągali; ale Roman nie silił się wcale. To co mówił, było przesiąknięte jakby zaprawą ironii, nie można było nigdy wiedzieć co twierdzi na seryo, a za żart uważa, bo szczerego uśmiechu nie widać było na jego ustach. Ton mowy i słowa wadliwe, miarowe, czyniły wrażenie jakby naprzód wyrachowane i w ścisłe zakresłonych granicach trzymane.

Janina, mały udział w rozmowie biorąc, studiowała ukradkiem Romana, którego prawie za osobistego wroga uważała, ale to studium na nie wiele się przydało. Z tego co mówił, osądzić go było trudno, a twarz jego dość przystojna bardzo mało wyrażała; powleczone był jakas maską chłodu, prawie nienaturalny w swojej nad wiek starszej powadze i sztywności.

Po skończonym obiedzie, gdy całe towarzystwo przeszło do salonu, Janina zmęczona moralnie i fizycznie uciekla do ogrodu, pragnąc wychnąć chwilę w samotności.

Udała się w ulubione swoje miejsce na samym krańcu ogrodu, gdzie na wysokim wale stała altanka z dzikiego wina umiejętnie urządzona, i usiadła w cieniu. Nagle usłyszała głosy jakiegoś w pobliżu: był to Roman z Kamillą.

Janina cofnąć się nie mogła; było już za późno, i niechęć wysłuchała rozmowy kuzynów, z której mogła lepiej poznać charakter Romana.

Widziała ich nawet; Kamilla stanęła na wale, z którego piękny widok roztaczał się na okolicę, i zwróciła nań uwagę Romana.

— Przypominasz sobie kuzynku nasze Żarnki? — pytała, — czy się bardzo zmieniły? co do mnie, lubię tę miejscowość, która mi przypomina najmielsze czasy mego dzieciństwa.

— Szanuję twoje zapatrywania, kuzynko, — odrzekł tym swoim nieokreślonym tonem, który na drwiący wyglądał, — ale ich nie zupełnie podzielam. Dojrzały człowiek nie bardzo mile wspomina czasy, w których był jak maszynka... nakreślanym podług woli innych.

— Dziwny jesteś! przecie każdy z nas musi zacząć od tego, że jest dzieckiem! Jeżeli się było dobrem, posłusznym dzieckiem, to owszem, wspomnienie takie bardzo przyjemne, łączące

się z zadowoleniem, że się swoje malutkie obowiązki dobrze spełniało.

— Tak, ja dziwny jestem w istocie, bo żadnych wspomnień nie lubię. Rzut oka w przeszłość zawsze mi przykreść robi; dowiedziona jest rzeczą, że każdy człowiek nigdy nie bywa zadowolony z tego, jak w tym lub owym wypadku postąpił, i wiecznie żałuje, że nie miał tego co dziś rozumu, żeby inaczej te rzeczy pokierować. Te wszystkie: „ach gdybym był wiedział! gdybym był przeczuł! gdybym się był głębiej namyslił...” irytują mnie, i staram się unikać tych rekryminacji, nie oglądając się nigdy na siebie.

Kamilla milczała chwilę, zamysłona.

— Jesteś prozą chodzącą... — rzekła w końcu z przekonaniem, które widocznie nie bardzo miłym jej było. — Czy ty nie marzyłeś nigdy, tak jak młodzi marzą? czy nie miałeś w swoim życiu chwil upojenia marzeń i uczucia?

— Szczęście? marzenie? — rzekł Roman powoli. — Przypomniałaś mi Kamillo dawno zapomniane mary... Marzyłem ja kiedyś, ale to już tak dawno! tak dawno te marzenia w proch się rozleciały!... marzyłem może o szczęściu... ale gdzie go szukać na świecie? Daremnie! marzyłem — może być tylko poeta... szczęśliwym?... chyba ten, kto nie wymaga wiele, zadawalniając się tem co posiada...

— Och, jakże ty pesymistycznie na życie się zapatrujesz! — zawołała Kamilla z niechęcią, — w takim razie ty pewnie musisz bardzo wiele wymagać, — a czasem tak nie wiele do szczęścia potrzeba!

— Ja wymagam? o mylisz się kuzynko; ja nie nie wymagam, nie wcale!

Mówił głosem spokojnym, nie unosząc się i widać było, że jeśli to co wygłaszał nie płynęło mu prosto z serca, to wywalczył sobie to przekonanie z uporem.

— Czy jednak... kiedy... nie znalazłeś się w takim wypadku, że głębokie, bardzo głębokie uczucie, kazało ci wymagać bardzo wiele?...

Wiedziała Kamilla, że to pytanie bardzo śmiało, wciskające się aż do głębi serca kuzyna, którego tajemniczo odgadnąć pragnęła z ciekawością popustego dziecka, ale choć wahająca się nieco, wypowiedziała myśl swą odważnie i oczekiwała odpowiedzi.

Ale Roman nie spieszył się zadość uczynić ciekawości kuzynki, śnać namyslał się lub trudno mu było mówić.

— Tak, — rzekł w końcu, — każdy człowiek musi przejść przez próby różne... musi — jak cma nocna — spalić się przy świecy, której światło brał za blask gwiazdy przewodniej... obecnie jestem jak człowiek, któremu ukradziono skarb jego cały, i który od tego czasu drzwi domu na klucz zamyka, choć tam już nie niema... ukradziono mi skarb mój... i odtąd drzwi serca mego przymknąłem na zawsze...

Skończył, a ukryta w altanie Janina pytała się sama siebie w zadziwieniu czy to głos Romana ona słyszała, taki był inny ten ton od zwykłego zimnego, którym przemawiał! W głosie Romana tkwił rzewny smutek, który ją przejął do głębi, ale zarazem utwierdził w przekonaniu, że Roman Kamilli wcale nie kocha...

Ta ostatnia tymczasem widocznie była rozczarowana; ubodły ją słowa kuzyna z całą otwartością wypowiedziane. Nadzieje Kamilli bardzo problematyczne się stawały w obec przekonania Romana.

— Drzwi twojego serca zamknąłeś na zawsze! — zawołała z irytacją w głosie powtarzając jego słowa. — Tak jakby można serce zamknąć na zawsze? A cóż byś zrobił, gdyby ono znowu upomniało się kiedy o swoje prawa? To rzecz przecie możebna.

— Sądzę, że poszedłbym za jego głosem, — odrzekł Roman weselszym tonem. — Ale to nie-możebne... Zresztą, po co my o tem mówimy! Nie powinienem nawet odzywać się przed tobą z moimi pesymistycznymi zapatrywaniami, człowieka dojrzałego, który dość już przeżył, dość się napatrzył w życiu...

— Och! — zawołała — tobie się zdaje, że jestem jeszcze taka dziecinna. Przecie ja już także żyję — i patrzę!

— Widzę to, moja doświadczona kuzynko! — odrzekł z uśmiechem pobażania. — Dla tego też, nie gniewaj się na mnie za moją śmiałość zdania... Otwartość jest to cnota, której nie z każdym nadużywać bezpiecznie, a kiedy jestem z tobą otwarty, widać, że mam wiele zaufania do mojej kuzyneczki...

Kamilla milczała chwilę, śnać rozmyślając jak powinna przyjąć te słowa.

— Dziękuję ci Romku za twoje zaufanie, — rzekła w końcu dość wesoło, co zadziwiło nieco Janinę. — *An fond*, nie miałam racji sprzeczać się z tobą, każdy ma swoje zapatrywania, to darmo. Teraz, jeżeli chcesz to wracajmy. Już późno, ubierać się muszę.

— Wracajmy, — odparł Roman, zwykłym swoim, chłodnym tonem, — ale pierwszej obdarz mnie pierwszym walcem na dziś; później poproszę o więcej.

Janina już nie słyszała odpowiedzi Kamilli, bo kuzynkowie oddalili się szybkim krokiem.

I ona wyszła z altany, niezadowolona z przymusowej roli szpiega jaką odegrała, zawstydzona tem co mimowolnie usłyszała, ale pomimo to swobodniejsza nieco. Czula, że „jej Kaziowi“ nie zagraża tak wielkie niebezpieczeństwo jak się tego przedtem obawiała.

*

*

*

W dużym salonie żarnkowskiego pałacu, skryta między buketami muzyka zagrała tęsknego walca, i pary wirować zaczęły.

Pierwsza, która do tańca stanęła był Roman z Kamillą. On *correct* w czarnym balowym stroju, który go czynił wyższym, ona w owej błękitnej sukni z powiewnej *crêpe de chine* i jedwabiu, bogato koronkami przybranej, z narcyzami, które jak gwiazdy w ciemnych włosach wyglądały, rozkoszna, ponętna, dziwny czar roztaczała w około, do którego jak do magnesu wszyscy oczy zwracali. Roman jeden był zimny, surowy prawie; obojętny wyraz nie schodził mu z twarzy, uśmiechem nie odpowiadał na uśmiech pięknej zalotnej kuzynki, która, choć tańczyć już przestała, trzymała go przy sobie, mówiąc coś wesoło, i patrząc mu śmiało w oczy.

W białej sukni, którą mundurem swoim nazywała, usiadła z boku Janina, a na świeżej twarzy cień smutku majaczył... melodia walca tak tęskna, a jednak ochocza, obudziła w jej duszy pragnienie... jakby z ochotą weszła w wir tańca!... Daremnie! ona tylko widzem być miała zabawy innych, starszych nawet, a może mniej ochoczych!

Roman, któremu zabrano kuzynkę do walca, okrążył salon, i powoli, widząc siedzącą Janinę, zbliżył się do niej.

— Można panią prosić? — zapytał.

Powstała, zmieszana nagle tym zaszczytem.

— Przepraszam pana... nie tańczę...

— Jakto?... Chyba pani jesteś zamówiona?

Podniosła głowę, i smutnie się uśmiechnęła; odzyskała już swoją zwykłą swobodę.

— Nie jestem zamówiona, bo nie tańczę wcale...

— Nie lubisz pani tej zabawy? — rzekł. Czemu?

Janina znowu głowę spuściła; smutno jej się nagle zrobiło, że ten niedelikatny człowiek domyślać się nie chciał.

— Niema tu mowy o moich upodobaniach...

rzekła dość stanowczo, choć drżącym nieco głosem. — Nie tańczę... dla prostej przyczyny, że dotąd w tym salonie nikt nigdy nie czuł się w obowiązku mnie o to poprosić...

Jemu jakoś dziwnie oczy zabłyśły.

— W takim razie... przepraszam panią... — rzekł tonem człowieka, który czuje że popełnił, niestosowność i grzecznością stara się ją zatrześć.

Odszedł, a Janina choć upokorzona nieco, czuła się zadowoloną ze swego postępcu. Najlepiej że nie dała mu żadnej iluzji co do swojej pozycji w tym domu, wołała nawet, że sama mu to powiedziała, jakgdyby miał się domyślać, lub

od innych dowiadywać. Biedna sierota miała swoją dumę i pomimo że wiedziała doskonale, że jest w salonie hrabiny, pomimo że czuła jak podrzędna rola jej wypadła, nie znośiła by jej to przypominać.

Romana znowu zwabiła Kamilla, wesoła, dowcipna, i bardzo dziś zalotna, jak to zauważyła Janina, ale wnet uwaga jej od Kamilli odciągnięta została przez zbliżenie się młodego blondyna, wątlej postaci, który chyłkiem, ostrożnie, i bardzo zabawnie, skradał się już od długiej chwili w tę stronę.

— Panno Janino! czy zawsze zostanie pani nie ubłaganą?—nie darujesz mi pani ani jednego tańca?—wyrzekł cichym, bardzo czułym głosem, a duże błękitne bez wyrazu oczy, tonęły z rodzajem lęku w jej oczach.

— Mówiłam już panu, że nie tańczę nigdy, odrzekła usuwając się nieco.

— A ja nigdy nadziei nie tracę, że pani się da namówić!—zawołał z przekonaniem. To tak przyjemnie tańczyć, panno Janino! a ja dobrze tańczę... niech pani spróbuje. Zaczynają właśnie mazura!

— Dobrze panie Juliuszu, odparła z uśmiechem, patrząc na ożywione rysy bladej twarzy. Dam się namówić, ale pod jednym warunkiem...—pójdiesz pan poprosić siostry o pozwolenie!

Twarz pana Juliusza i tak dość długa, jeszcze się więcej przeciągnęła, uśmiech znikł z ust na wpół otwartych, a cała postać wyrażała przynębienie.

— Jesteś pani okrutna...—szepnął.

W tej chwili drobna postać ładnej czarnookiej blondynki, choć przekwitłych już trochę wdzięków, wyrosła jak z pod ziemi przy rozmawiających.

— Venez—donc Jules! szukam ciebie do figury!—zawołała nakazującym tonem, i nie patrząc na Janinę, szybkim ruchem zakreśliła Juliuszem, i wciągnęła go do koła, żywo coś rozprawiając.

Janina musiała się uśmiechnąć z tej sceny.

Niedługo potem została tańczących, wraz z panią Adela, z zazdrością śledzącą brata i udala się do jadalni, gdzie z polecenia hrabiny dopilnować musiała zastawę stołu.

Janina wprawdzie okiem dojrzała parę niedokładności, które usunęła i wydała kilka rozkazów służbie.

— Wkrótce pokój zapelniał się gwarzącymi wesoło, którzy parami wchodzić zaczęli. Janina, jak istny marszałek dworu, wskazywała miejsce, uśmiechając się przytem do tych, którzy do niej po parę słów przemówili. Gdy nareszcie zbliżyła się do miejsca, które przy końcu stołu było dla niej wolne, uśmiechnęła się znowu, bo ten „szary koniec“ zwykle tak upośledzony, wcale nie był nim dzisiaj. Kamilla uznała, że jako domowa, powinna skromnie przy stole zająć miejsce, i żeby się nie nudzić, pociągnęła za sobą Romana, który w ten sposób, mając ją po prawej stronie, po lewej dostał za sąsiadkę Janinę. Tuż obok, przy pustem krześle zasiadł niespokojny, i oglądający się... pan Juliusz!...

Gdy Janina usiadła, mgliste oczy Juliusza zakrężyły się z zadowolenia.

— Na nic się zdało uciekać odemnie panno Janino! ja zawsze dogonię!—rzekł zacierając ręce.

— Któż panu mówił że ja uciekam?—odparła wcale nie podzielając jego radości.

— O pani to sprytna! sprytna!—rzekł znowu robiąc tajemniczą minę.

Janina obojętnie wzruszyła ramionami, nie starając się domyslać co chciał pan Juliusz rozumieć pod temi słowami, ale Kamilla śmiała się serdecznie z pociesznej miny młodzieńca, który był pewny, że jest bardzo dowcipny.

Roman, zawsze niewzruszony siedział między dwoma pannami, i zdawał się nie zwracać uwagi ani na słowa Juliusza, ani na śmiech kuzynki.

Janinę irytowała sztywna postać jednego sąsiada, a gadatliwość drugiego; rumienila się ciągle gdy Juliusz paplał bez sensu, aż gdy nareszcie dał jej starym zwyczajem galeczki chleba do wyboru, podniosła zmieszana oczy na kuzyn-

na Kamilli, i dojrzała na jego ustach ledwie dostrzeżony uśmiech tak pełen ironii, że z humorem odrzuciła galeczki Juliusza, i wstała od stołu.

Wróciła za chwilę; Roman spokojnie rozmawiał z kuzynką, a Juliusz siedział milczący, napuszczony, jakby chciał płakać...

Chciał coś mówić, ale mu nie dała, wymownym ruchem ręki nakazując milczenie.

— Pójdę sobie jeżeli mi pan będzie dokuczał!—szepnęła cicho ale stanowczo, a Juliusz spuścił oczy zawstydzony i uspokojony.

Roman musiał zauważyć tę krótką scenę, bo znaczącym wzrokiem spojrzął na Juliusza, wzrokiem, w którym był nieodzowny wyrok wydany na biednego; w oczach Romana była litość, i szyderstwo zarazem...

Skończyła się kolacja, a tańce, które po niej nastąpiły, trwały do białego dnia.

Najpiękniejsza i najweselsza, królowa tego wieczoru, Kamilla, do samego końca równie była ożywiona; zmęczenia na niej znać nie było. Wracając do swego pokoju, po skończonej zabawie, zaciągnęła z sobą znużoną Janinę, i rozbrawszy się z balowego stroju przeciągała gawędę, nie mając ochoty spać, tak była rozbawiona.

— Jakże ci się Roman podobał?—zapytała w ciągu rozmowy. Ciekawa jestem wrażenia jakie musiał wyrzucić na tobie.

— Wrażenia?—powtórzyła ściągając ramiona Janina, czy sądzisz, że aż wrażenie mieć musiałam?...

— No, więc jak go znajdujesz? Ze skromnego kącika jaki zawsze z upodobaniem zajmujesz, można nie jedno obserwować wybornie.

Janina uśmiechnęła się. Czy ona tylko z upodobania ten skromny kącik zajmowała?...

— Obserwacje moje czynione z miejsca które z *musu* zajmuję, podobne są obserwacyom astronoma przypatrującego się gwiazdom, które choćby pragnął inaczej... niedostępne dla niego na zawsze zostaną... Pana Romana zaliczyć mogę do najświetniejszych, ale tak bardzo oddalonych od mego kącika, że nawet sądu o tej jasnej gwiazdzie wydawać nie śmiem.

— Bardzo poetycznie, ale nie jasno. Nie rozumiem ciebie.

Czy boisz się mnie obrazić?—mów śmiało... pragnę wiedzieć twoje zdanie.

— Nie polegasz na niem wcale, wiem—o tem dobrze.

A zresztą, cóż ja mogę powiedzieć?

— Ah mon Dieu! przecie bardzo zwieźle postawiłam pytanie: podoba ci się Roman?—czy nie?...

— Nie!...—odrzekła Janina krótko.

— Czy mu masz co do zarzucenia?

— Dość Kamillo! w żadne dalsze wywody wdawać się nie myślę, jestem jeszcze za mało doświadczoną. Pytałaś mnie tak? czy nie?...—odrzekłam: nie bo takie moje zdanie! i rzecz skończona!

Kamilla zamyśliła się chwilę.

— A jednak!—zawołała nagle stanowczo,—jestem—przekonana, że Roman należy do ludzi, którzy jeżeli zechcą potrafią zawracać głowy kobietom!

Janina nieznacznie się uśmiechnęła—i Kamilla powtarza to co jej o kuzynie kiedyś mówiono, sądząc że własne zdanie wygłasza.

Nie chcąc dłużej prowadzić rozmowy, która jej zupełnie nie zajmowała, Janina żaliła się że bardzo jest znużona, i odeszła do siebie.

Kamilla zaś długo jeszcze leżała na fotelu z założonemi nad głową rękami, i myślała o czemś, co jej do wypoczynku ochotę odbierało...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Marya z Wodzińskich Orpiszewska.

W jednym z *Kuryerów* wyczytałem następującą wiadomość: „Dochodzi nas wieść o zgonie s. p. Maryi z Wodzińskich, z pierwszego małżeństwa Fryderykowej hr. Skarbkowej, z drugiego Władysławowej Orpiszewskiej. Sędziwa matrona zakończyła żywot w majątku Kłóbka pod Kowlem, w domu swej siostrzenicy, pani Maryi z Kościelskich Orpiszewskiej“. Ta sucha wzmianka dziennikarska nie może nie wtrącić w zadumę, jeśli się zważy, że ta s. p. Władysława Orpiszewska przeżyła nie tylko swych mężów (z których z pierwszym nie była szczęśliwą w pożyciu), ale i dwóch ludzi, którzy kochając się w niej, kiedy była młodą dziewczyną, tem samem zapewnili jej nieśmiertelność. Bo s. p. Marya z Wodzińskich tak samo przejdzie do nieśmiertelności, jak do niej przeszły: Beatrice, Laura, Eleonora, Fornarina, Victoria Colonna Maryla. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż dopóki stanie języka polskiego, dopóki ludzi będzie zachwycała poezja Słowackiego, dopóki świat będzie rozmarzała muzyka Chopina, dopóty nie zaginie pamięć o Maryi Wodzińskiej, która Słowackiego—wbrew wywodom p. Zagórskiego—natchnęła do napisania poematu *W Szwajcaryi* i paru rzewnych erotyków, jak *Rozłączenie*, *Stokrotki* etc., a Chopina pobudziła do skomponowania smętnego walcu *R-moll*.

Zdaje się, iż to chwila odpowiednia, ażeby przypomnieć dzieje tych dwóch miłości, jaką dla „Maryi“ zapłonęły te dwa tak pokrewne sobie duchy artystyczne.

Z Chopinem znali się od dziecka. Jako syn Mikołaja Chopina, u którego trzej bracia Maryi, uczęszczający do szkół w Warszawie, mieszkali na stancyi, „mały Szopenek“, którego poufale nazywano „Frykiem“, bardzo często bywał w Służewie. Służewo było majątkiem dziedzicznym Wodzińskich, a ojciec Maryi, hr. Wincenty Wodziński, żył na stopie magnackiej. Tam też, w tym pięknym Służewie, na tle jego pałacu i przepysznego parku, na tle służewskich lasów i pól, zaczął się kleić romans pomiędzy „Frykiem“ a „Marynią“. Byli jakby stworzeni dla siebie, choć dzieliła ich najgłębsza ze wszystkich przepaści—majątkowa. Na szczęście „Frycek“ miał talent, a talent ma ten przywilej, iż niekiedy potrafi równoważyć różnice majątkowe. Tak było i w tym wypadku: Marya miała przyszłość przed sobą, jako świetna partya, a „Frycek“ miał niemniej świetną przyszłość, jako muzyk. Powtóre „serce nie służy, nie zna co to pan“ i to był wzgląd przeważający, który rozstrzygnął sytuację. Niezależnie od wszystkiego, co mógł doradzać rozsądek, Frycek Ignął do Maryni, a Marynia upodobała sobie Frycka, w którym, choć był wtedy dzieckiem jeszcze, ona, również dziecko, przeczuła genialnego kompozytora i niepospolitego człowieka. Jeśli się doda do tego, że ten genialny muzyk *in spe*, który już teraz wszystkich zachwycał swą grą na fortepianie, był slicznym chłopcem, a Marynia miała nie tylko sliczne czarne oczy, ale była nadto i duszą artystyczną, także wyjątkowo uzdolnioną do muzyki, to nie wyda się dziwnem, że tych dwoje „dzieciaków“ zaczęło się kochać wzajemnie...

Tak upłynęło lat kilka, potem Chopin, już jako młodzieniec 20-letni, wpadł w wir życia literacko-artystyczno-teatralnego Warszawy, wkrótce stał się sławnym i, co za tem idzie, rozrywanym w towarzystwach, a oszołomiony sławą i powodzeniem w świecie, o ile zawsze z rozrzuwaniem wspominał chwile spędzone w Służewie „z panną Marynią, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło“, o tyle zdarzały mu się i takie chwile, w których nierównie więcej, aniżeli o Maryni, myślał o młodej i pięknej śpiewaczce, pannie Konstancji Gładkowskiej.

Później opuścił Warszawę, a w r. 1832 zamieszkał w Paryżu, gdzie osiadł stale. Tymczasem rodzina Wodzińskich, znalazła się także za granicą, a w r. 1832 zamieszkała w Genewie w pięknej willi przy ulicy Beauregard, nad samem jeziorem.

Willi ta, położona w słicznym ogrodzie, na uboczu wzgórza, zwracała na siebie uwagę przez to szczególnie, że w pewnych godzinach słychać było przez jej otwarte okna czarowne dźwięki chopinowskich mazurków i nokturnów, oddawanych z prawdziwą maestrią. To panna Wodzińska grała na fortepianie.

Była to już panna blisko 16-letnia. Wysoka, pełnej tuszy (kto wie nawet, czy nie za tęga trochę, jak na przyszłą wymarzoną heroinę poematu *W Szwajcaryi*), niepospolicie rozwinięta, nie tylko umysłowo, ale i fizycznie, brunetka, o matowej cerze włoszki (w żyłach jej, oprócz polskiej, płynęła i włoska krew), o przeslicznych czarnych oczach, odbijających „wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy”, o rysach twarzy wydatnych, niezupełnie regularnych — zwłaszcza nos był trochę za duży — posiadała „coś niewypowiedzianie uprzejmego” w całym ułożeniu, coś, co się zwykle mianem wdzięku niewieściego określa.

Ci, co ją znali, wyrażają się zgodnie, że piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar. Że zaś posiadała „mnóstwo talentów”, że wychowana starannie uprawiała ze znacznym powodzeniem prawie wszystkie sztuki piękne, poczynając od muzyki i śpiewu, a kończąc na malarstwie, od którego, jako malarka, miała bardzo sympatyczny talenik, więc dziwić się nie można, że się podobała mężczyznom, że ją za przykładem księcia Ludwika Napoleona, który także należał do jej adoratorów, nazywali pochlebnie *la brune fille d'Europe*.

Choć, jak zapewniała przed paru laty, „nie myślała wtenczas o miłości” ale o nauce, i choć się sama jeszcze nie miała za dorosłą pannę, to przecież takich, co się w niej kochali, nie brakło już i wtedy w Genewie. Dość powiedzieć, że młody hrabia de Montigny, bywając w willi przy ulicy Beauregard, tak się zakochał w tej Chopinowskiej *Mademoiselle Marie*, że się o nią w ciągu roku 1833 i 1834 dwukrotnie aż oświadczył. Nadto — o ile wiemy — kochał się w niej jeszcze w tym czasie młody Darowski, z którym ją nawet przyjaciółka jej, panna Wanda Ossolińska, koniecznie chciała wyswatać. Młody książę Ludwik Napoleon był *in diesem Bunde de drille*: i jego rozmarzała „panna Maryanna” swoją muzyką: najlepszy dowód, że zawsze w godzinach, w których panna Wodzińska ćwiczyła się w muzyce, on stawał pod oknami willi, na ulicy, i stał zasłuchany i nieruchomy, z cygarem w ustach, tak długo najczęściej, dopóki muzyka nie ucichła.

Czwartym był Chopin, który z Paryża, gdzie żył blisko ze starszym bratem Maryi, Antonim, także stwierdzał prawdę francuzkiego przysłowia, że *on revient toujours à ses premiers amours*. Przestał się zajmować panną Gładkowską, która w tym czasie właśnie wyszła za mąż, za kupca Józefa Grabowskiego, i zaczął tęsknić za temi czarnymi oczkami, które go tak rozmarzały, kiedy dzieckiem będąc, spędzał wakacje w Służewie u Wodzińskich. Odżyła miłość dla „panny Maryni”, a wzrastająca sława jako kompozytora, tudzież serdeczny stosunek z Antonim Wodzińskim, (który w końcu roku 1833 przeniósł się do Genewy), zaczęły w nim budzić myśli o małżeństwie. Zdawało się „Fryckowi”, że gdyby się zaczął starać o „pannę Marynię” może ją dostał. Więc zaczął się starać. Jak? Między innymi, zaczął korespondować z matką i braćmi Maryi, zwłaszcza z Feliksem. Oczywiście o „pannie Maryni” nie zaniedbywał jak najczęściej wspominać w tych listach, bądź kłaniając się jej, bądź wyrażając swoje opinie o jej kompozycjach fortepianowych. Bo doszło już do tego, że „panna Marynia” nie tylko zaczęła wchodzić w ślady swego wielbiela, z lat dziecinnych, komponując różne sentymentalne walece à la Chopin i nokturny à la Field, ale zaczęła

je Chopinowi posyłać do Paryża, ażeby o nich wyraził swoje zdanie. Oczywiście, że to zdanie zawsze wypadało pochlebnie. Oto dowód. W liście swym z d. 16 lipca 1834 r., pisanym do Feliksa Wodzińskiego do Genewy, tak pisał Chopin: „Twoja siostra była tyle grzeczną, że mi swoją kompozycję przysłała. Ucieszyło mnie to niewymownie i zaraz tego samego wieczoru improwizowałem w jednym z tutejszych salonów na ładniuchny temat owej Maryni, z którą się to w Pszennego domu po pokojach goniło!... A dziś! *Je prends la liberté d'envoyer à mon estimable collègue M-lle Marie une petite valse que je viens de publier*. Oby setną częstkę przyjemności tej zrobił, jakiej ja doznałem odebrawszy waryacje... Kochanej Antka uściskał, Kazia uduś z tendresów, jeżeli potrafisz, a co pannie Maryi, to ukłoń się bardzo elegancko z uszanowaniem, zadziw się, i powiedz sobie po cichu: „Mój Boże! jak to urosło!...”

Tymczasem zdążył się w „pannie Maryannie” zakochać Słowacki, który mieszkając w Genewie, także zaczął bywać u państwa Wodzińskich, a po niejakiem czasie, po romantycznej wycieczce w Alpy Berneńskie, wspólnie z całą rodziną Wodzińskich odbytej *), zaczął myśleć o tem samem, o czem jednocześnie w Paryżu myślał Chopin: czy by mu się nie udało ożenić z panną Maryanną. W tej nadziei pisał raz do matki, że jeśli nie wróci do kraju, „to znajdzie sobie zagranicą ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę, będącą synów córki...”. Innym razem, kiedy już zdążył być z Wodzińskimi na „prawie familijnej” stopie, kiedy sprawił nawet, że się Wodzińscy za jego poradą wprowadzili do tego samego pensjonatu, w którym on mieszkał od paru lat, zwierzał się matce, że „chciałby na rzeczy żywota znaleźć jaki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą spokojną i cichą dziewczeczkę, a zrozumiesz moje żądanie.” I zaczął roić o szczęściu, które by go spotkało, gdyby serce tej „czarnobrewej panienki” zabiło dla niego silniej. Zapomniał o przepaści majątkowej i socyalnej, jaka go dzieliła od Maryi, i zaczął jej dawać do zrozumienia, że ją kocha. A ona? Ona słuchała jego wynurzeń, ale udawała, że się nie domyśla jego ukrytych zamiarów, z którymi on zdradzić się otwarcie — nie śmiał. Nawet go kokietowała chwilami, a w swoich rozmowach z nim „o rzeczach anielskich,” (rozmowach, które prowadzili w ogródku, rwąc stokrotki, lub spacerując nad brzegiem jeziora), dostrajała się do jego sentymentalnego tonu, tak, że zdawało mu się niekiedy, że i ona „także zapłynęła trochę w kraj ideału.” Doszło do tego, że zaczęli rozmawiać o przyszłości, a kiedy poeta oświadczył raz, że najprawdopodobniej skończy na wstąpieniu do klasztoru, ona również zaczęła marzyć o żywocie pustelniczym. Ale poeta nie wierzył jej zapewnieniom, dowodząc, że znajdzie się niebawem „jaki Pan Podkomorzyc, dobrze opatrzone w szlachecką ukladność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi, który jej z łatwością domek pustelniczy wybijie z głowy.” Że on by pragnął być tym Podkomorzycem, tego się panna powinna domysleć... **).

*) Pod wrażeniem tej wycieczki napisał później Słowacki wiersz w albumie Maryi W., którego początek brzmiał, jak następuje:

Byli tam, kiedy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łakach biją smutnie twardo zblakanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.
i t. d. i t. d.

Od tego samego obrazu zaczyna się strofa VIII poematu *W Szwajcaryi*.

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony.
Gdzie się w tężozne ubiera kolory i t. d.

**) W liście z d. 2 Kwietnia 1833 (a w tym czasie właśnie powstał poemat *W Szwajcaryi*) pisał Słowacki do matki: „Mówią, że się Szopen z Maryą W. a niegdyś moją Maryą, ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie,

Tak upływały dni i tygodnie, aż wreszcie, któregoś wieczoru, kiedy panna Maryanna, siedząc ze Słowackim w ciemnym salonie, grała mu na fortepianie — jak nieśmiertelna *Lucie Mussetowi* — poeta, który aż dotąd „krył się do muszli serca swego, jak ślimak,” powstał nagle, podszedł z cicha na palcach do krzesła Maryi i nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi, pochwycił warkocz panny w obie ręce i wpil się weń namiętnie ustami... Panna Maryanna, zmieszana zrazu, zerwała się z miejsca, nie wiedząc co począć, i dopiero, kiedy ujrzała przed sobą ze spuszczonemi oczyma poetę, który, jak zbrodniarz, nie miał siły wytrzymać jej spojrzenia, nie mogła się powstrzymać, żeby nie — wybuchnąć śmiechem.

W kilka tygodni potem, w lipcu r. 1835, przyjechał do Genewy ojciec Maryi, ażeby wkrótce „porwać stąd całą rodzinę,” gdyż mogli już wracać do Służewa. Jeżeli się Słowackiemu zdawało, że z chwilą przyjazdu pana Wodzińskiego może zająć jakaś zmiana na jego korzyść, to zawiódł się pod tym względem. Widząc też, że nie prócz zgryzoty i upokorzenia nie zyska, że sięgnął za wysoko, pożegnał się z Maryą, (a nie omieszkając przy tem pożegnaniu położyć nacisku na „żał i tęsknotę,” z jakimi się z nią żegnał) i zanim Wodzińscy zdążyli wyjechać z Genewy, przeniósł się do Veytoux, gdzie pod wpływem tęsknoty za Maryą napisał swe przerzeczne *Rozłączenie*...

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści: wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie
[zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska:
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrå siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

I nie mógł zapomnieć tych niedawnych dni szczęścia, które zawdzięczał tej „czarnobrewej panience,” i „samotny, bez nadziei,” błądził po skałach, z głębokim rozrzewnieniem wspominając ostatnie miesiące swego życia, podczas których był tak blisko Maryi, podczas których mieszkali pod jednym dachem, zasiadali do jednego stołu, razem bywali na spacerach w teatrze, na koncertach, razem pływali czółnem po jeziorze, razem rwali stokrotki.

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił nie, a drugi — troszeczką.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei,
Błądząc po skałach — wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrotki,
Co była siostrą stokrotek w alei.

jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowiekiem, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało...” Jak dalece Słowacki myślał w tym czasie (kiedy napisał poemat *W Szwajcaryi*) o Maryi Wodzińskiej dowodzi inny ustęp tegoż listu, gdzie poeta pisze: „Znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezji: *Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągle wieści*...” Jest to wiersz z *Rozłączenia* napisanego w Veytoux do Maryi W. Wkrótce potem pisał Słowacki pod wrażeniem otrzymanych wiadomości z Genewy: „Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzieś sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdzieś przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakoby mnie przeniknął widok miejsc, gdzieś latał po murawach z młodzieńką Maryją, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają, zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępem... O nie wróć do Genewy!”

Rwałem ją: listki leciały w błękitie
Aż na jezioro ze skały, gdzie siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział?

Nie przypuszczał poeta, że gdyby mu ten listek powiedział prawdę, ta prawda wypadła by nie na jego korzyść, ale na korzyść—Chopina. Państwo Wodzińscy bowiem, po wyjeździe z Genewy, którą opuścili w końcu sierpnia, udali się do Dreżna, dokąd także, z namowy „Antka” Wodzińskiego, przyjechał Chopin, z wyraźnym zamiarem starania się o rękę Maryi. Był już tak sławny, że mógł, jak mu się zdawało, sięgnąć tak wysoko. Jakoż wszystko szło jak najlepiej: Wodzińscy byli mu radzi, a panna okazywała wcale nie dwuznacznie, że mu sprzyja. Widywali się ciągle, a gdziekolwiek bywano, bywano razem. Ponieważ panna miała lat 19, Chopin zaś 26, nie dziw więc, że ich zaczęto brać za narzeczonych. Pierwszy Chopin dawał się uwodzić tym złudnym pozorom. Przekonany, że ma wszelkie szanse, był w brylantowym humorze, a kiedy zasiadł do fortepianu, improwizował tak pięknie, jak nigdy przedtem. Był w siódmym niebie! Widział, że panna mu sprzyja, że na jego miłość zaczyna odpowiadać wzajemnością, a przytem z niemałą przyjemnością konstatawał znamienny—jak mu się zdawało—sposób zachowania się ze strony pani Wodzińskiej, która nie miała nie przeciwko jego częstym *tôt à tête* z Maryą... Mimo to nie śmiał się oświadczyć oficjalnie, tak, że kiedy przyszedł dzień, w którym państwo Wodzińscy mieli opuszczać Dreżno, kiedy już dylżans czekał przed domem, on wyraził Maryni swoje uczucia nie słowy lecz za pomocą tęsknego walcu, którego jej, siadłszy przy fortepianie, improwizował. Marynia zrozumiała, co mówiła ta improwizacja, więc podeszła do stołu, na którym stał bukiet z róż, zerwała jedną i dała ją Chopinowi. Potem się rozstali, Chopin wróciwszy do domu, napisał Walca F-moll, który później, przepisany na czysto, z Paryża przysłał Maryi do Służewa, z wyraźną dedykacją *Pour M^{lle} Marie*.

W rok później państwo Wodzińscy znaleźli się w Maryenbadzie. Chopin wiedząc o tem (od Antoniego Wodzińskiego niezawodnie), także przyjechał do Maryenbadu, z zamiarem, ażeby ponownie starania. Zrazu szło wszystko jaknajlepiej: państwo Wodzińscy nie mieli nie przeciwko temu, że im Chopin asystował wszędzie, że wszystkie wieczory spędzał u nich przy Maryi, z którą razem grywał na fortepianie, czytywał, dokazywał, jednocześnie pozując jej do portretu. Wszystko to, razem wzięte, przejęło go taką otuchą, że któregoś dnia — na krótko przed projektowanym wyjazdem Wodzińskich — oświadczył się Maryi... Odpowiedź jednak, którą otrzymał od niej, była smutnym wstępem do jego życiowej tragedii. Marya oświadczyła mu, że nie może postąpić wbrew woli rodziców, którzy by się nigdy nie zgodzili na ten związek, ale przyrzeka mu, że w sercu swem nazawsze zachowa mu wdzięczne wspomnienie.

Ja cię wiecznie będę—wspominać,
Ale twoją być nie mogę.

W parę dni później Wodzińscy wyjechali z Maryenbadu, a Chopin, złamany i wyczerpany, powrócił do Paryża, gdzie w niespełna rok potem rzucił się w objęcia pani Sand, w których znalazł zapomnienie i przedwczesną śmierć.

Tymczasem Marya, ulegając despotycznej woli ojca, zamiast zostać żoną „grajka” (jak podobno Wincenty Wodziński nazwał Chopina, kiedy się dowiedział o jego zamiarach względem Maryi) wyszła za hrabiego Fryderyka Skarbka, człowieka przeżytego i zniedołężniałego, człowieka, za którym nie przemawiało nie prócz majątku i nazwiska. Było to bardzo nieszczęśliwe małżeństwo, tak nieszczęśliwe, że się skończyło rozwodem, który uzyskawszy, Marya wyszła za Władysława Orpiszewskiego. Tym razem kochała swego męża...

A Słowacki? On, kiedy Chopin starał się o Maryę, podróżował po Wschodzie, a gdziekolwiek był: czy to w Grecji, czy w Egipcie, wsze-

dzie myślał o Maryi. Na wydmach Nilu, stawał blady i kreslił jej rysy, i imię pisał na piasku wilgotnym. Ale któregoś dnia *).

na piramidzie
Odebrał list, tfu! że za mąż idzie.

Mimo to nie mógł zapomnieć o niej. Na śniegach Libanu, nad smętnymi wodami jeziora Genezaretańskiego, myślał o swej czarnobrewnej panience, z którą kiedyś chodził po szwajcarskich górach, którą o zachodzącym słońcu widywał „od Alp, na śniegach różowych, różową,” z którą razem dumiał na progu kaplicy Tella... Potem osiadł we Florency, ale i tam, gdziekolwiek się obrócił, wszędzie go ściagało wspomnienie Maryi. Oto dowód. Któregoś dnia pojechał w towarzystwie rodziny Józefa i Hermana Potockich do Walambrozy. Oto, jak ją opisał matce: „Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, gdyż przypominała mi moją wędrówkę po Szwajcaryi: coś było bowiem w gwarze tej licznej rodziny, przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej panienki czarnobrewnej brałowało...” Z tego uczucia narodził się poemat *W Szwajcaryi*, napisany wkrótce potem, we Florency. **).

W tej samej Florency, w której ją unięsmiertelnił Słowacki, w kilkanaście lat potem, osiadła na stałe Marya, już jako Marya Orpiszewska. Mieszkała tu razem z mężem, przez długie lata, a zawsze z największym upodobaniem grywała utwory Chopina, którego do śmierci wspominała z rozrzewnieniem. Za to o Słowackim zawsze się wyrażała z przekąsem... Po śmierci męża, zmarłego przed kilkunastu laty, wróciła do kraju.

Ferdynand Hösick.

*) Na wydmach Nilu napisał Słowacki wiersz do Maryi W. zatytułowany *Z Nilu*. Oto początek tego wiersza.

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem
Ty przyleciałaś do mnie, z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie... I długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.
Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie, czy jeszcze
Smutną pod płaczącymi wierzbnami zastaje
Biały księżyc... O moja miła siostró duszy, i t. d.

W rok potem, we Florency, pod wpływem tego samego uczucia tęsknoty za Maryą W., pisząc swój poemat *W Szwajcaryi*, jednej scenie tego poematu, mianowicie szóstej, dał za tło tę samą kaplicę Tella, na której progu przed czterema laty siedział „smutny” z Maryą W.

Pod ścianą ze skały i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów,
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy

W tymże poemacie *W Szwajcaryi* jest strofa, w której poeta powiada między innemi:

I staje blady, i kresli jej rysy,
I imię pisze na piasku wilgotnym

To samo czynił sam Słowacki—na rok przed napisaniem poematu *W Szwajcaryi*—na wydmach Nilu (gdzie napisał ów wiersz do Maryi W. Dowód na to znajduje się w jego raptularzu (ogłosz. w *Bibl. Warsz.*), gdzie pod datą d. 7 listopada, podczas swej podróży Nilem, notuje poeta: „Polowanie na piasku nad brzegiem rzeki—południe—skwar pustyni—piszę imię swoje na piasku i drugie i ne.” Ze tem „drugim innem” imieniem, które Słowacki napisał—laską—na piasku obok swojego imienia, było imię Maryi W. o tem (wobec wiersz *Z Nilu* do Maryi W.) niepodobna wątpić.

**) Należy szczególny nacisk położyć za to, że bohaterka poematu *W Szwajcaryi* ma na imię Marya. Dowodzi tego niezbicie strofa VII, gdzie bohater poematu, wyraźnie powiada o swej ukochanej, kiedy się z nią znalazł w grocie:

Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria!

Por. z tem artykuł p. Wł. Zagórskiego p. t. *Nie Marya W.*, niedawno wydrukowany w „*Kuryerze Warszawskim*.”

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Intruz, Maurycego Maeterlincka. — Miłostka, Artura Schnitzlera.

Publiczność warszawska, pod koniec roku ubiegłego, doznała dwóch odmiennych rodzajów wrażeń artystyczno-teatralnych. Dzięki inicjatywie i pracy p. M. Gawalewicza, grono amatorów wykonało na przedstawieniu dla towarzystwa dobroczynności utwór Maurycego Maeterlincka, p. t. „Intruz” (w przekładzie p. Walery Marrenowej); teatr zaś Rozmaitości wystawił w tym samym czasie najnowszą sztukę wiedeńskiego autora, Schnitzlera, p. t. „Miłostka.” Dwa te utwory stają na przeciwnych biegunach twórczości dramatycznej i dają pole nie tylko do porównania, ale również do naszkicowania ogólnej charakterystyki pewnych kierunków literackich obecnej doby.

W kierunku, który reprezentuje pisarz belgijski, Maurycy Maeterlinck, panują: ciemności, smutek bezbrzeżny i rozczarowanie. Słusznie o tym prądzie literackim powiada wyborny krytyk, dr. Henryk Biegeleisen, iż jest w nim jakby szamotanina się z nieuleczalną chorobą, pogoń za czemś zbawczym, co nie przyjdzie; mgliste poczucie, że wszystko, co istnieje, jest tylko przenośnią i symbolem; niewyraźne aspiracje ku nadzmysłowemu sferom zagnały poetę w ciemność i zawilość; mimo idealne poloty, poddaje się on zmysłowości i przeczuciom sennym, hazyzowym wizjom, podnosząc wrażenia te do godności czynników intelektualnych.

O Maeterlincku, w ciągu ostatnich lat kilku, pisano wiele i pisało wielu. Z naszych autorów wymienić należy: p. Zenona Przesmyckiego (który pierwszy w ogóle u nas o nim szerzej mówił i którego tłómaczył), pisał też p. Lange w swym „Symbolizmie”, p. Weyssenhoff w „Nowym fenomenie literackim” (*Biblioteka warszawska* z r. 1891), doskonale poetę określił dr. Biegeleisen—wreszcie wygłosił o nim „konferencję” przed przedstawieniem „Intruz” p. Gawalewicz.

Zatrzymamy się na tych dwóch ostatnich charakterystykach, ponieważ, zdaniem naszym, najlepiej oświetlają przedmiot i w zestawieniu z sobą dają dokładny wizerunek ciekawej fizjognomii pisarskiej tego poety z *fin de siècle*.

Maeterlinck, to plastyk i kolorysta niezrównany—pisze dr. Biegeleisen—to żongler rytmów i rymów, to poeta sumień i hyperestezji, to już właściwie spirytysta.

Nie przywiązuje on wagi do wirtuozostwa, bezcelowych arabesk. Wiersz jego jest jednak bogaty i soczysty, gdy potrzeba, ma połyski stali i światła elektrycznego. Cała szeroka muzykalność wiersza jest dla niego tylko łożem kwiecistym, na którym składa ukołowane dziecię ducha i ideę. Pieśniarz omdlałości i aromatów narkotycznych, jest królem mroków i cieni, który umie wywołać trudne do określenia wrażenie, jakiś koloryt bolesny i złowrogi. Wyziera zńąd oblicze mistycyzmu, ale w tej roślinności nie łatwo się zorientować. „Man—powiada o sobie Maeterlinck—niezmierny szacunek dla wszystkiego, co milczące w umyśle, dla wszystkiego, co nie znajduje głosu w duszy, i żałuję człowieka, który nie czuje w sobie tajemniczości.” Jest w naszej duszy morze wewnętrzne, przerażające, prawdziwe morze ciemności, gdzie szaleją dziwaczne burze tego, co nie daje się ująć w dźwięki ani opisać, a to, co nam uda się opowiedzieć, zapala w niem niekiedy, jakby odbicie gwiazdy w rozkipieniu fal ciemnych. Temiż to jedynie niemymi wodami polewamy martwą glebę sztuki. Pociągają mnie ruchy bytu nieświadome, przesuwające świetne swe dłonie przez blaski otaczającego nas muru sztuczności. Chciałbym zbadać wszystko, co niesformułowane w egzystencji, wszystko, co niema wyrazu w śmierci lub życiu, wszystko, co szuka głosu w sercu. Chylę się z ciekawością

nad cudami śmierci, nad tajemnicami snu, nad wszystkimi nieznanymi potęgami duszy naszej. — Pelen smutku i rozmarzenia idzie poeta tą obraną drogą, wszystkie jego myśli uchodzą raz na zawsze „zdnizamętu w toń snów“, w sercu zamierają nenufary rozkoszy, palmy żądz, liany sybarytyzmu — i tylko biała lilia mistycznych uniesień, wznosi swój kształt bladej, wąty i cichy ku nieskończoności“.

O tym samym pocie mówi p. Gawalewicz w swej konferencji:

„Żyłka do wizjonerstwa i mistycyzmu odzywa się w Maeterlincku nader wczesnie; już jako młodzieniec miewa sny dziwaczne, tajemnicze. Potem, bardzo często, wydaje się, iż poeta zasypia z otwartymi oczami i widzi jakieś senne obrazy na jawie, które bierze za rzeczywistość; ma wizye piękne, malownicze, poetyckie, które nie się upaja, jak wonią tych dziwacznych stworczyków; wyhodowanych w „Cieplarni“ jego fantazyi.

„Zasadniczym motywem wszystkich dramatycznych obrazów Maeterlincka jest coś, jakby ów klasyczny fatalizm, zawieszony w powietrzu nad głowami jego bohaterów i bohatererek; zdaje się unosić nad nimi groźne widmo śmierci i zaguby, niewidzialne ale straszne, które z początku przenika dreszczem, zbliża się powoli, lecz nieustannie i stąpa cichymi krokami cmentarnej mary, powiewa płachtą całunu, który zarzuca na swe ofiary i dusi je pod tem nakryciem z bezlitosnym okrucieństwem.

„Zmora ta wypełnia sobą atmosferę „Intruza“.

Takie uwagi do pewnego stopnia przygotowały widzów, którzy z ciekawością zaczęli przyglądać się akcyi i śledzić odrębne szczegóły dramatu.

Takie to autora, bądź co bądź oryginalnego, zaprezentował publiczności warszawskiej p. M. Gawalewicz; i przyznać trzeba, że Maeterlinck zaciekał Warszawę i do sali muzeum przemysłu i rolnictwa sprowadził tłumny zastęp widzów. Należy się też inicjatorowi widowiska, p. Gawalewiczowi, który nadto wiele się nad wypróbowaniem „Intruza“ napracował — szczerą podzięką

Przedstawienie to miało swój literacki charakter; konferencja, wygłoszona przez p. Gawalewicza na wstępie, oświetliła przedmiot należycie i uczyniła go zrozumiałym dla publiczności. Że go owa publiczność nie odczuła, jakby tego pragnęli apostołowie belgijskiego poety, to pewna, lecz utwór, ujrany na scenie, dał krytyce naszej możność sprawdzenia własnych opinij, opartych dotąd na lekturze dzieł Maeterlincka.

„Intruz“, to śmierć wkraczająca do domu pewnej cichej nocy letniej, kiedy promienie księżyca padają blade na kwiaty. Śmierć tę przeczuwa stary ślepiec, który oczami duszy widzi rzeczy niedostrzegalne dla otoczenia. „Maeterlinck lubi ślepców — mówi p. Wł. Bogusławski; — dusze ich są dla niego ową harfą eolską, połączoną z nieskończonością niewidzialnymi strunami, z których po-za-swiatowe powiewy wydobywać mają akordy mistycznej poezyi. Taką duszą jest ten niewidomy dziadek w bezimiennym rodzinie, przeczuwający zbliżanie się „intruza“ do łóża córki, złożonej w sąsiednim pokoju groźną chorobą. Umysłowanie tych przeczuć w drobnych, prawie nie znaczących faktach, jak szelest zeschłych liści w ogrodzie, zamilknięcie śpiewu słowików, migotanie słabnącego w lampie płomienia, opieranie się drzwi, których nie można domknąć, jak gdyby w nich ktoś stał, odgłos ostrzonej niewidzialną ręką kosy, krzyk dziecka, wreszcie ukazanie się siostry miłosierdzia, wymownym gestem oznajmającej katastrofę, — oto środki wytworzenia nastrój, oto sposoby wywołania w publiczności owego *oppressio*, owego uczucia dławiącego przygnębienia, którem oddziaływa na widzów Maeterlinck.

„Katastrofa, która ma przyjść, której nadejścia jesteśmy pewni, zajmuje widza przedewszystkiem, i do tego stopnia, że właściwie nikt nie zwraca uwagi na to, co się na scenie mówi,

a wszyscy śledzą właśnie owe złowroźne objawy. Bo też na scenie nie się naprawdę nie mówi, przynajmniej nie takiego, co by w błysku jakimś odsłoniło poetę, co by choć z daleka przypomniało poezję, np. sonambulizmu lady Macbeth. Mijemy odwagę powiedzieć, że suggestya wywołana jest wrażeniami czysto materialnymi: nie słowo ją wytwarza, ani jego duchowa treść, lecz fizyczne sensacje ciemności, szmerów, szeleatów, brzęków, zgrzytów, krótko mówiąc, szczegóły zrzęcej sceneryi“.

(Dokończenie nastąpi).

LIST Z ANGLII.

Po nader w tym roku wczesnych mrozach, zapowiadających niejako bardzo ostrą i długotrwałą zimę, nastąpiły tygodnie sloty, zakończonej gwałtowną burzą, trwającą prawie przez dwa dni i noce. Orkan, ciągnąc od wybrzeży zachodnich i południowych, zatopił w okolicach tychże paręset statków rybackich i kosztował życie kilkudziesięciu ludzi. Na lądzie też niemałe poczynił szkody. Najbardziej ucierpiało Brighton, gdzie wszystkie prawie budowle nadbrzeżne zdruzgotane i zmiecione zostały przez fale morskie. W Londynie burza nie szalała już z taką mocą, — ale i tu nie obeszło się bez licznych, mniej lub więcej ciężkich wypadków.

Przez cały zeszły miesiąc powietrze było przy częstych deszczach tak łagodne, iż trudno było uwierzyć, że to Grudzień, gdy zaś zjawilo się na chwilę słońce, lub trochę pogodniejsza pora, ruch na ulicach i tak przed świętami znaczny i ożywiony we wszystkich punktach stolicy, zamieniał się na istic gorączkowy. W niektórych dzielnicach miastach trudno było przecisnąć się przez tłumy, zwarte jak podczas najuroczystszych procesyj.

Christmas! Christmas! wyraz ten czytales wszędzie, na każdym literalnie kroku, na wszystkich drzwiach sklepowych, na każdym wystawowym oknie. Wątpię czy jest na świecie kraj, w którym by na święta Bożego Narodzenia czyniono tyle przygotowań i zakupywano takie olbrzymie zapasy żywności, jak się to widzi w Anglii.

Wystawy sklepów spożywczych i kolonialnych są tak przeładowane, że niepodobna dopatrzyć się w nich odrobiny smaku. W pierwszorzędných składach towary nęcą gatunkiem przednim i świeżością, nigdy jednak doborom i układem.

Nieraz już zaznaczaliśmy, że w Londynie bardziej może jeszcze niż w innem wielkiem mieście występuje rażące przeciwstawienie nędzy do wybranych tego świata, którzy, posiadając olbrzymie majątki, opływają we wszelakich zbytkach, na jakie tylko prerafinowany smak wytwornego high life'u zdobyć się może. Przed świętami ubiegłymi rodziło się mimowolne pytanie: kto opróżni te zbytkowne wystawy, zapchane bezprzykładnie kosztownymi przedmiotami, przeznaczonemi już to do strojów, ozdoby mieszkań, lub spożycia na wykwintnym stole? W Londynie tak samo wprawdzie jak i wszędzie podstawę handlowego ruchu daje stan średni, lecz i od tego jeszcze jakiś odskok wielki do tłumów niezliczonych biedaków, oblegających wieczorem przed Wigilją, sklepy i składki spożywcze i rzeźnicze, w których w dniu tym właściciele rozdają nędzarzom rozmaite niesprzedane resztki.

Sklepy rzeźnicze w Londynie śmiało zaliczyć można do osobliwości. Na niektórych ulicach jest ich więcej, niżli w niejednym całym stołecznym mieście środkowej lub południowej Europy. Trudno doprawdy mieć pojęcie o tych nieprzebranych zapasach przeróżnego mięsa. Chyba i w przewidywaniu obłożenia niepodobna byłoby

nagromadzić większych, niż się to widzi tutaj w czasie poprzedzającym święta Bożego Narodzenia. Nietylko Słowianom przyznać można zwyczaj nadmiernego objadania się podczas świąt wszystkich, równie dobrze potrafią to i Anglicy.

Dla katolika, mieszkającego tu od niedawna i nie przywykłego jeszcze do obowiązujących przepisów anglikańskiego kościoła, dziwnym zaiste musiał wydać się obchód świąt, tak czczonych w katolickim świecie. Pierwsze święto przypadało w piątek, kościół zaś anglikański obowiązuje tylko do święcenia Niedzieli, — aczkolwiek więc w pierwszy dzień Bożego Narodzenia sklepy były pozamykane, każdy jednak mógł zająć się dowolną robotą. Gospodynie najbardziej dnia tego zapracowane były przygotowaniem potraw rozmaitego rodzaju i przyrządzaniem tradycyjnego pudingu (Christmas-pudding). Od godziny 3-iej ulice pokryły się wyludniać, albowiem o tej porze zabierają się wszystkie średnie i niższe klasy do ogólnego obciążania żołądków przeważnie tłustem i ciężko strawnym jadłem.

Prócz kilku rodzin wybitniejszych zajmujących stanowisko, w stolicy Anglii nie brak i pomiędzy robotczą ludnością katolików, którzy prawie wyłącznie są polskiego pochodzenia. Odległości w takim mieście, jak Londyn, są ogromne, z dzielnic, zamieszkiwanej przez ludność uboższą, do kościoła katolickiego niezmiernie daleko, powstała więc myśl zbierania składki na zakup domu, który można by przerobić na kaplicę, z pomieszczeniem przy tejże księdza polskiego. Arcybiskup Westminster, ks. kardynał Vaughan, ofiarował na ten cel od siebie 200 fst.

Nieruchomość, o której mowa położoną jest w dzielnicy wschodniej Londynu, tam, gdzie po największej części osiedlają się rzemieślnicy i wyrobnicy przybywający od dawna z Prus i Księstwa, oraz ze Szlązka i Galicji. Pracownicy owi czasem ściągają z całemi rodzinami, czasem znów tworzą je pomiędzy sobą i z małemi tylko wyjątkami prowadzą się jaknajprzekładniej. Zajęcie znajdują najczęściej w cukrowniach, gazowniach, garbarniach i przy drogach żelaznych. Brak własnego kościołka jest dla tych ludzi tak przykrym, że gdyby go tylko posiadali mogli, z pewnością sami utrzymali by przy nim plebana i potrzebną obsługę. Dodać należy, że marzeniem ich jest także, iżby przy plebanii mieściła się szkołka dla ich dzieci. Za dom, na ten cel wybrany, żądają 2,000 fst. Kupno jednak nie przedstawia zbyt ciężkich warunków, albowiem tylko połowa powyższej sumy ma zostać wypłaconą z góry.

Szlachetny czyn arcybiskupa Westminster był dobrym dla wielu przykładem i składki napływają coraz obficie. Z upoważnienia arcybiskupa zawiązał się komitet zbierający takowe, na czele którego, jako skarbnicy, stanęli: hrabia Ludwik Łubiński-Bodeham (z Rotherwas Herefordshire) i Henryk Pace, głośny prawnik tutejszy, ożeniony z Polką. Datki złożone zostają do banku, odpowiedzialnymi za nie są obaj skarbnicy. Niektórzy z krajowców katolickiego wyznania, aczkolwiek zajęci w tej chwili budową katedry katolickiej w Londynie, na którą szczerze składają ofiary, nie odmówili także datku na ufundowanie kaplicy dla Polaków. Inicytorką tego pięknego przedsięwzięcia jest pani Henrykowa Pace, oddana szlachetnej myśli całą duszą.

Ruch wydawniczy, jak zawsze z końcem jednego a rozpoczęciem drugiego roku, ożywił się w dwóch głównych kierunkach. Tak samo jak co roku, ukazały się ozdobne wydawnictwa, pełne wspaniałych rycin, mogące służyć za bardzo piękny upominek gwiazdkowy — i stosy książek dla dzieci.

W rzędzie pierwszych, — Magazine of Art — (Cassel et Comp.), zajmuje najprzedniejsze miejsce. Jest to przepyszny zbiór reprodukcji z prac najlepszych malarzy angielskich. Kolekcye dzieł Millais'a i lorda Leighton'a, zmarłych w roku zeszłym dwóch najznakomitszych mistrzów Wielkiej Brytanii, są istotnie cenne i warte dokładnego obejrzenia.

Art Journal—stanowi także nader staranny, wytworny zbiór kopii z wielu znakomitych obrazów, i składa się z drzeworytów, stalorytów, sztychów, fotodruków i litografii, między temi zaś znajdują się rysunki i szkice do mających się pojawić nowych wydawnictw.

Dzieła Shakespear'a ukazały się nietylko w nowej ale prawdziwie zbytkownej edycji. Papier, druk, oprawa, są bez zarzutu,—ilustracje wspaniałe. Komentarzów moc tak wielka, że możnaby z nich kilka zebrać tomów.

Dziwna rzecz jak w trzeźwej, praktycznej i we wszystkim naprzód idącej Anglii, wiele jeszcze dla dzieci drukuje się książek przepelzionych najnieprawdopodobniejszymi bajkami i fantastycznymi opowieściami. Prawda, że każda z nich zawiera sens moralny, ale przecież nierównie zdrowiej jest podać go małemu czytelnikowi w formie, któraby nierozwiniętą jeszcze główkę nie zaprzętała zawsze złe oddziaływającymi na dziecko strachami i młodej wyobraźni nie rozbudzała w szkodliwym dla niej kierunku. Pomiędzy przeznaczonemi dla dzieci książkami spotykamy nietylko bajki znane od niepamiętnych czasów na całym świecie, jak: Czerwona czapeczka, Tomeio Paluch, Śpiąca królewna i wiele innych,—lecz i nowe czarodziejskie opowiadania, o bardziej może jeszcze rozbijającej fantazji jak owe dawne. Jedne zaś i drugie, przybrane w nęcącą oprawę i prześliczne ryciny.

Niemalą wrzawę w kołach literackich obudziła Marya Corelli,—inaczej Mavis Clare,—a właściwie Marion Mackay, zapowiedzią nowej powieści, która śmiałością ma przejść wszystkie dotychczas napisane przez niezaprzeczenie utalentowaną autorkę. Powieść ta ma dotyczyć najwyższego towarzystwa i krytyków i ma być wyzwaniem jednego z najgłośniejszych i najzdolniejszych dziennikarzy, Mallocha. Mallocha, w British Review, napisał krytykę ostatniej powieści Corelli „Zamordowanie Delicyi”—i nazwał ją—a novel for the vulgar—(powieść dla gminu). Sama ta zjadliwa nazwa, dla anglików, nie znoszących niczego co jest vulgar i niezmiernie czułych żeby na tę nazwę nie zasłużyć,—wystarczyła, by powieść rozechwytywanej dotąd autorki czytać odrazu przestano. Niegdyś już, w początkach swej kariery piśmienniczej, po obojętnym przyjęciu przez krytykę „Romansu dwóch światów,” Corelli wydała wojnę krytykom w następnej powieści swej „Ardati.”—w której opisała krytyków i redaktorów jako ludzi pospolitych, przedajnych, nie posiadających żadnego prawie wykształcenia, a do tego wszystkiego, trawiących czas nad kieliszkiem. Żaden jednakże z obrażonych, nie myślał o obronie i Corelli zawiodła się w swych oczekiwaniach. Nie zwrócono uwagi na jej pracę. Dopiero późniejsze jej powieści, aczkolwiek obfitujące w rozmaite niekonsekwencje i częstą przesadę, niemniej przecie napisane z werwą, talentem i olbrzymią twórczością, zjednywały jej coraz szersze koła czytelników. Niektóre jak na przykład: „Barabasz,” i „Zale Szatana,”—doczekały się dwudziestu kilku wydań i są tłumaczone prawie na wszystkie Europejskie języki.

Niezmiernie trudnem, może nawet wprost niewykonalnem zadaniem, było by przetłumaczenie poezji Rudyarda Kiplinga, które już od lat kilku wzbudzały zachwyty Angielskiego i Amerykańskiego inteligentnego świata.

Kipling, urodzony w Ameryce, w Bombaju, wychowywał się w Anglii, wiek zaś młodszy spędził w Indyach, skąd rozeszły się pierwsze jego literackie próby. Ostatni jego poemat, dedykowany miastu Bombajowi, zatytułowany, „Na siedmiu morzach” (The seven seas),—skła-

da się z oddzielnych, prawie odrębną stanowiących całość, pieśni. Każda z nich posiada niezrównaną siłę i wysnuwa się ze szczerzego, prawdziwego natchnienia. Kipling pisał też nowele i powieści, treścią których było przeważnie życie Anglików w Indyach. Styl jego jest nadzwyczaj oryginalny, przytem pełen prostoty i doświadczenia,—w opisach zaś natury plastyczny, czasem rzewny a zawsze porywający życiem. Nie do oddania w innym języku są niespodziewane zwroty, to ucieszne, to smętne, to tchnące jakimś, rzekłbyś, nieświadomym siebie, naiwnym wdziękiem. Kipling umie też być w swoich wyrażeniach szczerym, aż do brutalności, zawsze jednak moralnym jest do gruntu.

Słów kilka poświęcimy jeszcze miss Matyldzie Blind, przez której śmierć nagłą ostatniego Grudnia, literatura angielska poniosła nową stratę.

Urodzona w 1847 r. wychowana w Żurychu, zdobywszy wszechstronną wiedzę, powróciła do kraju i z wielkiem powodzeniem poświęciła się pracy na polu piśmienniczym. Była stałą współpracowniczką „Westminster Review.” Do niej należał dział poważnych sprawozdań i krytyka. Powieści jej i poezye cieszyły się szerokim uznaniem. Z pomiędzy pierwszych, najbardziej znaną jest Tarantella, zawierająca wiele zajmujących obrazów z życia Włochów. Przyjaźń miss Blind z Mazzinim zachęciła ją do studiowania historii. „Życie pani Roland,” jest pracą, która zyskała pochlebną ocenę Ludwika Blanc.

Nowy rok zapowiada wiele nowości z dziedziny nauk poważniejszych, beletrystyki i teatru. Zobaczmy o ile odpowiedzą one oczekiwaniom czytającej publiczności.

S.

Z bieżącej chwili.

— W Warszawie ma powstać towarzystwo aeronautów, które będzie miało za zadanie badać teorię naukową kwestyi żegluginapowietrznej; dotąd jednak sprawa ta naszkicowana jest w zarysach ogólnych, inicjatorów projektu jest bardzo mało.

— W r. b. przypada d. 1-go Lutego zaćmienie słońca. Jestto zaćmienie obrączkowe, u nas wszakże niewidzialne, obejmuje ono tylko Amerykę środkową i południową, znaczną część Oceanu Wielkiego oraz wybrzeże południowo-wschodnie Australii. W ogólności w r. b. przypadają tylko dwa zaćmienia słońca obrączkowe i u nas niewidzialne. Zaćmienie księżyca nie będzie. W ogólności, w ciągu jednego roku nie może być zaćmień więcej nad siedm ani też mniej nad dwa, a w tym ostatnim razie oba są zaćmieniami słońca; rok więc obecny pód względem ilości zaćmień należy do najbardziej upośledzonych. Szczegóły powyższe czerpiemy z tygodnika przyrodniczego „Wszechświat.”

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 6 powieści p. t. **Siostry**. Przełożyła Z. S.

KSIEGARNIA GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE poleca

wydawnictwo Tygodnika Ilustrowanego i Biesiady Literackiej:



RZYM PAPIEŻY

zawiera opis kościołów i uroczystości kościelnych, muzeów Watykańskich, Dworu Papieżkiego, zabytków starożytnych, arcydzieł sztuki, pomników, okolic malowniczych i innych ważniejszych przedmiotów Stolicy Piotrowej, na podstawie najlepszych źródeł opracowany.

Wydanie ozdobne w dużym formacie in 4-o z licznymi ilustracyami na pięknym papierze z portretem

Ojca św. Leona XIII

oraz herbem Papieżkim.

Cena rs. 8.

W ozdobnej oprawie z insigniami i złoceniami, oraz brzegami złoczonemi **rs. 10.**

Przesyłka stosownie do odległości za zaliczeniem.

Treść: Bolesław Prus, przez J. Nitowskiego (z portretem). — Na schyłku wieku, przez Selima. — Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę. — Marya z Wodzińskich Orpiszewska, przez Ferdynanda Hösicka. — Przegląd dramatyczny, przez A. Dobrowolskiego. — List z Anglii, przez S.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Siostry**, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 6.—Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow-Przedmieście Nr. 66.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 2 Января 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Miel. Glücksberg.